Nr. 13 Rok 5 Kraków, dnia 26 marca 1944 Cena 40 gr.

Ilustrowany
RJER POLSKI



ROZYNA I BARTOLO

W DOSKONAŁEJ INTERPRETACJI H. DUDICZ-LATOSZEWSKIEJ I B. BOLKI W „CYRULIKU SEWILSKIM" NA SCENIE KRAKOWSKIEGO TEATRU POWSZECHNEGO.

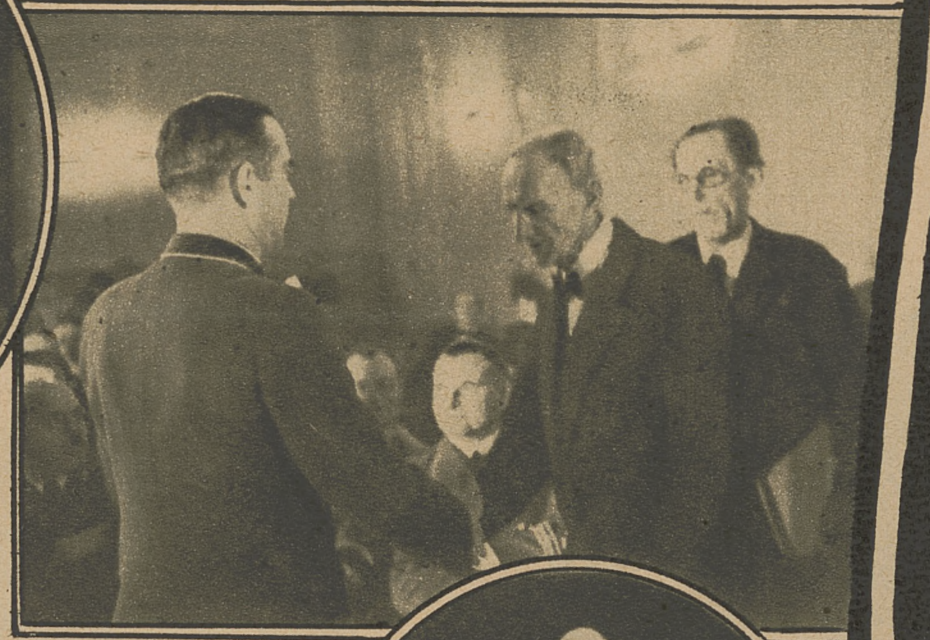
Dalsze szczegóły wewnątrz numeru

UROCZYSTA INAUGURACJA „KRAKOWSKIEGO TEATRU POWSZECHNEGO"



W dniu 15-go marca odbyło się uroczyste otwarcie „Krakowskiego Teatru Powszechnego". Inauguracji dokonał Starosta Miejski Krämer. Na ilustracji widzimy przedstawicieli władz. Od lewej: Szef dystryktu Krakowskiego, Gubernator dr von Burgsdorff, Prezydent Ohlenbusch, dyrektor teatru Świechło, prof. dr Piotrowicz z R. G. O., Starosta Miejski Krämer i kierownik artystyczny teatru Fabisiak.





Starosta Miejski Krämer w czasie wygłaszania przemowy.

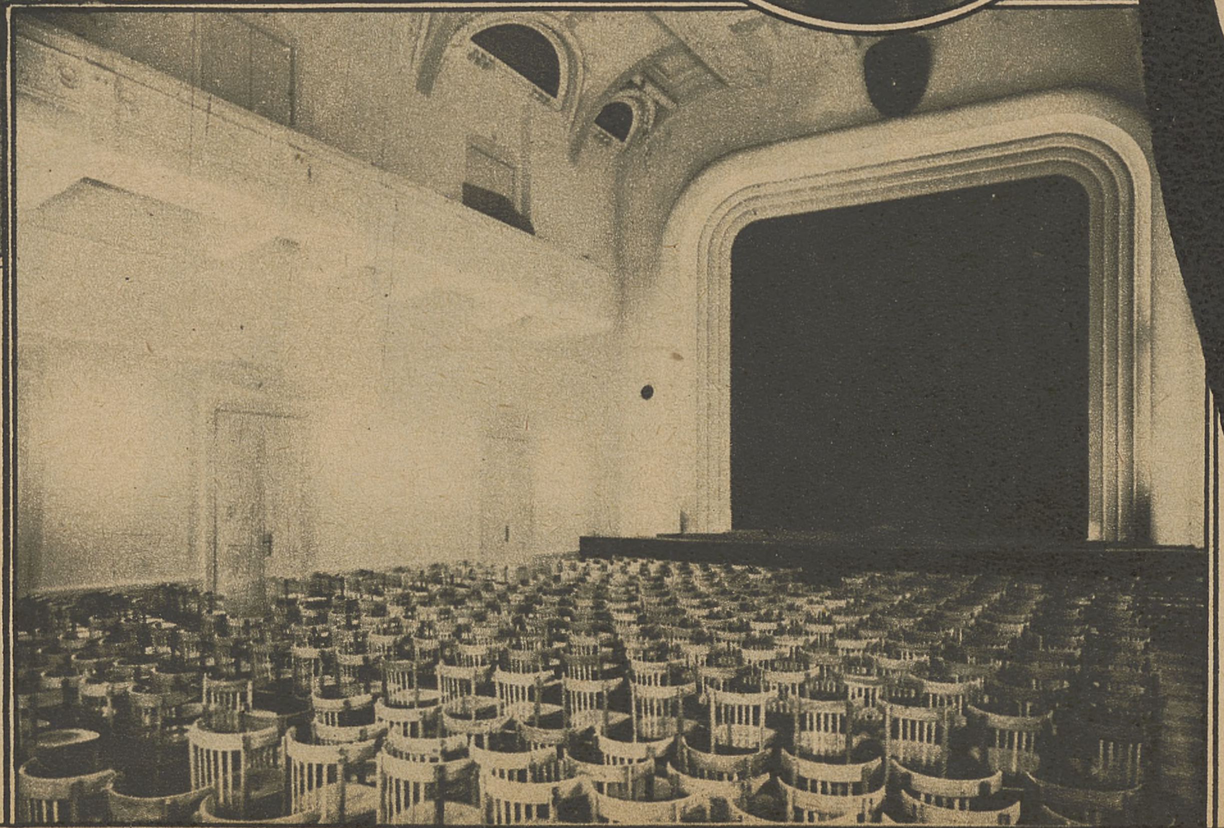
Powyżej na prawo: Grzegorz Senowski, senior artystów krakowskich, składa Generalnemu Gubernatorowi na ręce prezydenta Ohlenbuscha pisemne podziękowanie w imieniu swych koleżanek i kolegów za umożliwienie artystom w dzisiejszych czasach pracy w ich ukochanym zawodzie.



Na lewo: Prof. dr. Piotrowicz z R.G.O. w czasie przemówienia, w którym dziękuje, Generalnemu Gubernatorowi za inicjatywę, a władzom za poparcie przy urządzeniu teatru.



Na prawo: Kierownik artystyczny nowego teatru, Fabisiak, kreśli w swej mowie zadania nowego teatru.



Na prawo: Fragment nowej sali teatralnej. Jak widzimy choćby z powyżej zamieszczonego fragmentu, wnętrze gmachu Starego Teatru zmieniło zupełnie swój wygląd. Z dużym smakiem i poczuciem artystycznym urządzono nie tylko salę teatralną i scenę, a także przyległą salę bufetową, westibul i schody oraz garderoby na parterze. Całe urządzenie wykonane niesłychanie solidnie i z najlepszego materiału, pomimo trudności spowodowanych wojną. Wielką nowością na terenie Krakowa jest niewątpliwie obrotowa scena, stanowiąca uzupełnienie niezwykle pięknej i nowocześnie urządzonej całości.

CYRULIK SEWILSKI



W dniu uroczystej inauguracji Krakowskiego Teatru Powszechnego rozpoczął się zarazem sezon teatralny. „Cyrulik Sewilski" Rosiniego zapoczątkował cykl przedstawień, które będą obejmować oprócz oper i operetek, sztuki teatralne, koncerty, balet, rewie i przedstawienia dla dzieci. Na prawo: Eugeniusz Mossakowski jako Figaro.



Powyżej: Emocjonująca scena z Haliną Stecką (Berta), Haliną Dudicz-Latoszewską (Rozyna), Adamem Doboszem (hrabia Almaviva) i Eugeniuszem Mossakowskim (Figaro).



Na prawo: Figaro i hrabia Almaviva.



Poniżej: Opera „Cyrulik Sewilski" nie tylko czaruje pięknem melodii, ale i skrzy się werwą i humorem. Figaro i Bartolo (Bolesław Bolko).



Powyżej: Z temperamentem odśpiewany tercet przez Bertę, hrabiego Almavivę i Rozynę.



Na prawo: Charakterystyczna maska Basilia (Karol Urbanowicz), który doskonałą groteskową grą wywoływał huragany śmiechu.

Fot. Borek



Na lewo: Fiorello (Cz. Kozak) w trudnej sytuacji.



Na prawo: Pełen humoru duet Figara i Basilia; na prawo Bartolo.

KROKODYL NA SZKOLNEJ ŁAWIE





Na prawo: **ALEŻ TO DŁUGIE CIELSKO DOPIERO!** Apetycik tego niejadowitego węża był widocznym w szkolnym zoo. Smakowało mu chyba wszystko, urósł też ostatnio nienajgorzej. Warto by zmierzyć, ile go tak plus-minus przybyło od ostatnich zapisków w tym względzie.

Poniżej: **PRZYGLĄDNIJCIE SIĘ CHŁOPCY BLIŻEJ TYM JEŻOM!** Wieleż ciekawych „odkryć" zrobić można na znanym chyba każdemu jeżu, gdy ma się go przed sobą na stole.



Obok: **OKO W OKO Z SYMBOLEM POWAGI I MĄDROŚCI** Sowa, wiadomo — nocny i do tego drapieżny ptak. Mieszka gdzieś po wieżycach i starych rozwaliskach, a ma przenikliwe, hypnotyzujące oczy... Nieprawda jednak, idziemy z każdym o zakład — że jest okrutnie dzika i nieufna! Oto siedzi sobie najspokojniej, oglądana ne wszystkie strony i boki i ani mru-mru.

Fot: Eurofot

Kto zna wrodzony dzieciom pęd do przyjaźnienia się ze zwierzętami, kto obserwował kiedykolwiek ciekawość z jaką odnoszą się wszystkie bez wyjątki dzieci do nowych, niewidzianych jeszcze przez nie stworzeń, — ten zrozumie niezawodnie dziecięcy entuzjazm dla szkolnych gabinetów przyrodniczo-zoologicznych, gdzie oko w oko spotykają się z przeróżnymi przedstawicielami wielu gatunków fauny. A chociaż preparaty owe nie tchną życiem, przecież w wyobraźni dziecka posiadają ruch i głos, wzbudzony w fantazji młodocianych obserwatorów wykładem nauczyciela, objaśnieniami wychowawcy. O ileż tedy wyraziściej przemawia do młodzieży gabinet taki, gdy zapełniają go nie wypchane okazy, ale stworzenia żywe, dające możność przyglądania się im w ich sposobie bytowania, w prowadzonych przez nie igraszkach i wzajemnym ustosunkowaniu pod kątem obcowania czy obojętności. I tutaj jednakowoż rozróżnić można dwie jakby odmiany takich „szkolnych zoo". Bo, albo będą w akwariach czy terrariach trzymane i hodowane znane na ogół młodzieży zwiérzątka, ptaki i rybki — albo oczom wychowanków szkolnych ukażą się stworzenia żywe — o których co najwyżej słyszeli w opowiadaniach, czytali o nich albo oglądali je na rycinach czy tablicach barwnych. W miarę istniejących możliwości wprowadzają też szkoły podobne „zoo-gabinety", będące radośnie przyjmowanymi przez dziatwę, bo obok pokazów filmowych stanowią one dla niej wciąż nowe przeżycia i niewyczerpane źródło zainteresowań. Co tam wypchana kukułka, zając, kot czy lis! Kogóż na dłużej ciekawi przyczepiony do pniaczka kos albo nawet śliczny, barwopióry paw!? Toż już sto razy więcej zajmująca jest biała, żywa myszka, śmiesznie dreptający jeż albo powolny, niby senny zawsze żółw . . . A cóż dopiero powiedzieć o „prawdziwym", pełzającym i syczącym wężu, o dostarczającym futer szopie, pociesznej parze długoogoniastych małpeczek Makak, ulubieńcach całej szkoły, mieszkankach południowo-wschodniej Azji!

Jak tu nie siedzieć godzinami całymi przed klatką mangusty, drapieżnika afrykańskiego, zwanego ongiś „szczurem Faraonów" i czczonego w starożytnym Egipcie! Bo też było i za co go poważać. Zjadał węże i tępił jadowite kraby morskie!

Albo Koto-małpa, tak zwany koczkodan! Jakież miny stroi niemądre! Boki można zrywać! Papugi kolorowe, jedna nawet gadająca, czy to nie strasznie zajmujące ptaki egzotyczne? A krokodyl?! Żywy, młody aligator, podobny do ogromnej jaszczurki!

Uczą się dzieci zoologii na owych żywych okazach świata zwierzęcego, a szczytem marzenia jest zostać „nadzorcą", szkolnego zoo, bo to „urząd" nie bylejaki i trzeba sobie nań dopiero pilnością i dobrym sprawowaniem zasłużyć! Ambicje młodzieży idą też zazwyczaj w tym kierunku i tworzą ważny atut wychowawczy.

Z całą przyjemnością oddaje się dziatwa pielęgnowaniu „swojego" zwierzyńca. Czyszczenie klatek, troska o pożywienie i wodę dla pupilów, dbanie o toaletowe zabiegi koło zwierzątek — odciągają dziatwę od smutnych często psikusów i wybryków, dając jej miłą rozrywkę i wyrabiając w niej poczucie obowiązkowości i przywiązania do zwierząt.

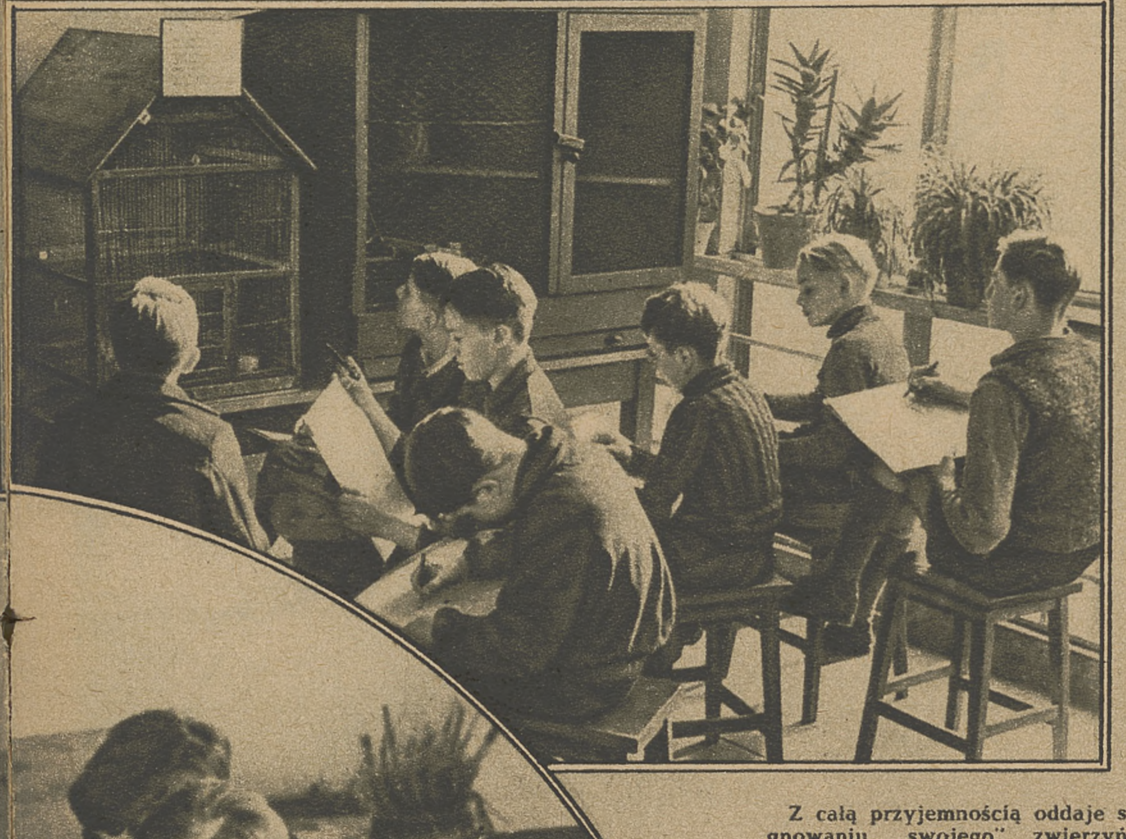
A tak spełniają „szkolne gabinety zoo" ważne bardzo zadanie, dając młodym wychowankom oprócz radości i nauki spojrzenie w świat stworzeń, żyjących i cierpiących jak ludzie, mających swe dobre i złe dnie znaczone losem.



Na lewo: **NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ O ŻADNYM PUPILU!** Znają zwierzątka szkolnego zoo swych karmicieli i z całą ufnością biorą pokarm z ich dłoni. Ba! Czekają nawet z pyszczkami przy pustych miseczkach, gdy zbliża się godzina „obiadu" czy „kolacji".



ACH! TO TAK WYGLĄDA SŁYNNY „SZCZUR FARAONÓW"!! Niby łasica czy kuna albo młody żbik czy coś w tym guście — a tym czasem całkiem coś innego! Afrykański obywatel, zwany tam popularnie choć niegramatycznie całkiem „mungoś". Właściwa nazwa tego łowcy wężów i przyjaciela człowieka brzmi mangusta i chowanym bywa w afrykańskich domach jak u nas kot czy pies. Że lubi przysmaczki, widać to od razu z fotografii.



Na lewo: **RYSUJEMY ŻYWE ZWIERZĄTKA! KTO NAJLEPIEJ!** Wnikliwe oko ucznia winno możliwie najdokładniej odtworzyć w rysunku postać i charakterystyczne, widoczne cechy wciąż niemal poruszającego się modelu.

Poniżej: **ŚNIADANIE MAŁPEK** Chłopcom naturalnie tylko figle w głowie, gdy staną przed klatką z małpeczkami. Ale, by pamiętać o ich żołądkach, o, to już sprawa dziewcząt!





Na prawo: **WIELKA MI NADZWYCZAJNOŚĆ — ŻÓŁW! . . .** Oczywiście, nadzwyczajność żadna. Ale spróbujmy go narysować, bez patrzenia na niego! Ani jeden całkiem dobrze tego nie zrobi.

Na lewo: **NIE KAŻDY LUBI SZCZOTKOWANIE** Są gusta i guściki. Zasadniczo szczotki są przeznaczone do włosów... Młody aligator jest niezadowolony z czesania go.



Jak stałam się Afrodytą?

Obok w kole: Krem nałożony na twarzyczkę klientki musi zostać dokładnie wtartym w skórę, jeżeli wpływ jego ma się okazać „zbawiennym". Że nie jest to lekka funkcja, można uwierzyć na słowo hygienistkom-kosmetyczkom i masażystkom Instytutów Piękności.



Na prawo: Zmarszczki na „jasnym" czole dbającej o swój wygląd kobiety, to poważny oczywiście defekt w jej urodzie, któremu potrzeba zapobiec za wszelką cenę.



Poniżej: Pilniczki, nożyczki, radełka, kleszczyki, pincetki i cały arsenał różnych precyzyjnych narzędzi przewija się przez ręce pedicurzystki, mającej za zadanie „wykończyć na ef-ef" stópkę uroczej klientki.



Fot: Eurofot

Trudno niesłychanie zbadać drogi, którymi kroczy niewieścia dbałość o swój „wygląd zewnętrzny", o swą piękność i czar swojej kobiecości. Jeżeli doprawdy faktycznie o „czymś się filozofom nie śniło", — to chyba o sposobach i sposobikach jakie wymyśliły, wymyślały i wciąż wymyślają nieodrodne siostry Ewy dla wprawienia w podziw i osłupienie świata to „smukłą linią", to „harmonią kształtów" to ogólną doskonałością swej np. „egzotycznej urody". Że tę urodę można w pielęgnacji kobiecej dowolnie już dziś prawie zmieniać, poprawiać i uszlachetniać systemem obcinania, przycinania, wycinania albo rozjaśniania czy przyciemniania — gdzie tylko potrzeba i można, o tym współcześni mają pewne choć nieco mgliste i niezbyt dokładne pojęcie...

„Być piękną jak marzenie" — to właśnie marzenie każdej kobiety i stara się je zawsze urzeczywistnić w miarę środków i możliwości jakimi dysponuje. Podobać się samej sobie a przede wszystkim „jemu", toć istotny cel tych jakże częstokroć żmudnych i uprzykrzonych nawet zabiegów upiększających. Chociaż dzisiaj nie słyszy się o stosowaniu przez kobiety kąpieli w mleku oślic, wzorem rozrzutnych Rzymianek starożytności, przecież „maseczki" i masaże wiodą swój rodowód z tamtej epoki. Czyli — kobieta tak bardzo zmienna — pod tym względem nie zmieniła się wcale a wcale. — A „panowie" tego



Na lewo: Wykąpane, natarte różnymi kremami i wymasowane ciało damy „robiącej się na bóstwo", poddane zostaje naświetlaniu lamp o otoczonej „tajemnicą" konstrukcji, wywierających bardzo pożądany wpływ na delikatność i karnację skóry.

świata, mężczyźni, zamiast snuć złośliwostki na temat upiększania się niewiast, niechajże w cichym uznaniu dla ich heroicznych wyczynów pochylą głowy i słowa współczucia z pełnią istotnego wyrozumienia i własnej dumy wybiegną niechaj na ich wargi, boć te kobiety trudzą się tak bardzo w pierwszym rzędzie dlatego — by wam się przypodobać i oczarowanych zdobyć.

Na prawo: W silnym oświetleniu reflektorowych lamp, bada współczesna rywalka Afrodyty cal po calu „stan" swej twarzy. Poniżej: Buzia jest nareszcie bez zarzutu! Wskazuje na to odbicie w lustrze radośnie uśmiechniętej twarzyczki pięknej pani.





Powiastka o małej Bodze

Verka Škurla Ilijić

Jak najczarniejszy atrament, którym się pisze najsmutniejsze opowiadania, wlewa się przez jakąś niewidzialną szparę wielki mrok w pusty pokój małej Bogi, w którym już od dawna nie ma jej ukochanej Nony. A tak, jak świętojańskie robaczki na świętego Jana, błyskają po gorącej główinie małej Bogi błogie i radosne wspomnienia o niej, ale daremnie wyciąga przeźroczyste rączki swoje, by naprawdę dotknąć się nimi dobrej starej Nony.

Daremnie woła przygłuszonym głosem i zaklina:

— Kochana, kochana Nono, przyjdź! Widzisz też choć, jak o mnie „na dole" znowu wszyscy zapomnieli. Kochana Nono, przyjdź i zapal mi świecę... Oto zmrok. Nigdy już więcej nie chcesz zapalić świecy, otworzyć „Serca" i czytać, jak... jak mały syn kowala robił „zajęczy pyszczek" nawet wtedy, gdy był ciężko chory. To i tyś mię, Nono, i tyś mię zapomniała...

I rzeczywiście było całkiem tak, jakby małą Bogę zapomniała i jej Nona, ona, która się od niej nigdy nawet nie ruszyła. Ni w domu, ni w kościele, ni w kąpieli, ni na przechadzce, a przechadzały się daleko, daleko od „riwy", bo nie trzeba, aby każdy widział małą Bogę.

Ale potem — jednego ranka — gdy Boga otwarła oczy, łóżko Nony było puste...

Ile się mała Boga napytała, napłakała, nałamała rączek, nie odpowiadali jej. Nie dali jej tego dnia w ogóle wstać, chociaż nawet nie była jeszcze chora.

Nazajutrz posłyszała Boga, że przed domem jest pełno ludzi. Nie dano jej popatrzeć nawet przez okno. A gdy tam na dole ktoś zaśpiewał żałobnie jak w kościele, nawet wtedy nie śmiała pójść do okna.

Powiedziano: Nona niespodzianie pojechała daleko, ale — wróci. Czekaj tylko, mała Bogo! Nie bądź niecierpliwa. To nieładnie.

I wielki smutek zapanował w pokoju małej Bogi na owym drugim piętrze. Wszyscy aktorzy ich, to jest Nony i jej teatru marionetek, leżeli twarzami w prochu.

Boże, Boże, jak to tej jesieni wszystko poczerniało i uderzyły deszcze! I stało się smutno! A Nona — cóż pocznie, cóż pocznie, by rozjaśnić chmurne lice? — Otworzyła ten tam stary „kaszun", to jest skrzynię z rzeźbami. A w oddali huczało morze, pluskały łódki tu i tam. Tych to dni powstały ciała i dusze sławnych owych osób. Nona ich — szyła. A potem, gdy Nony już więcej nie było, gdy powiedziano, że „wróci", poustawiała ich Boga wszystkich w oknie przy szybach i obróciła twarzą ku morzu: niech czujnie uważają, czy kto nie będzie wracał, gdy „zatrąbi wapor"*) i poczną wychodzić podróżni. Niech uważają, czy już raz nie wraca jej stara Nona.

I tak tam stali wszyscy. Jeden przy drugim.

Swawolna „Colombina", a przy niej pstrokaty, w kostkę i wyciągnięty „Arlekin". Była ci tu szalona „Brigela" ze swoją pompadurką w rozstawionych rękach, wiecznie spiesząca i po uszy zakochana w całym świecie. Przy niej stał spokojnie brzuchaty „Frakanapa". Nie chciało mu się już więcej ni żartów ni figli. Ale gdyby mógł cokolwiek zauważyć, on byłby już pierwszy, który by podskoczył dał dobry znak, że ktoś wrócił i że Teatr na nowo się otwiera... Że zasłona z żółtego jedwabiu znowu będzie się podnosić i opuszczać. Za zasłoną będą znowu ukryte dobre i pożyłkowane ręce Nony, a ponad wszystkim sterczeć będzie tylko jedwabny czepek na głowie Nony i trząść się będzie to tu, to tam: — tak się rozbawi Nona życiem, które sama tchnie w figury ze starych szmat i starej bawełny.

Boże, Boże, kiedy to wszystko znowu będzie? I odkąd to mała Boga ciężko jest chora i tylko tak leży, a — na dole rozmawiają i rozmawiają, zapominają o niej. Mała Boga wie dobrze, że tylko jej stara Noną w całym tym wielkim domu ją kochała. Że „podobna była" tylko do starej Nony: Nona była prawie tak samo mała i słabowita, zbiedniała, jak i mała Boga.

Matka nie wiele o nią dbała. Zakochana była tylko w pięknych dzieciach i nie wychodziła nigdy na przechadzkę po „riwie" z nią, z małą Bogą. Po prostu trzymała ją z dala od siebie, odkąd miły Bóg — zamiast wziąć sobie małą Bogę — wziął jej pięknego, zdrowego brata, którym się matka tyle pyszniła.

A jakże ma się pysznić Bogą? Biedna mała Boga nie była taka jak inne dziewczynki. I nie miała podstrzyżonych włosów. Mała Boga była mianowicie garbata i miała zawsze długie włosy, bo włosy służyły jej na to, by — starannie rozsiane po plecach — jako tako zakrywały jej garb.

Do małej Bogi nie mieli nawet wiele zaufania, bo pewnego razu zobaczyła na przechadzce w jakimś kącie małą bosonogą żebraczkę, która płakała z zimna, więc Bodze żal się jej zrobiło. I czym prędzej — by służąca nie widziała — zdjęła jeden swój trzewik i wcisnęła go małej żebraczce w ręce. Gdy domownicy zobaczyli, że przyszła tylko w jednym trzewiku, ogromnie sie przerazili...

— Ona by wszystko rozdała! Trzeba lepiej na nią uważać — powiedziała matka.

Ale w ten brzydki wieczór, o którym mowa, nie było ni matki Bogi w tym małym pokoiku. Pojechała do swojej siostry, ciotki Bogi, do wielkiego miasta w gościnę. Do tej, co ma „małą Leonorę". Matka Bogi prawie szalała za tą słynną małą pięknością, która w jednym konkursie pięknych dzieci swojemi czarami do łez roztkliwiła całe to wielkie miasto.

Mała Leonora, która tego lata była u nich. Całe trzy dni, które Boga zawsze będzie pamiętać: Boże, Boże, jak to wszystko było?

Najpierw matka machnęła triumfalnie depeszą:

— Nareszcie! Przyjeżdżają! Przywożą małą Leonorę! Bogo, tyś coś słaba; nie wstaniesz. Czekać będziesz ładnie w swojem łóżeczku, a potem mała krewniaczka przyjdzie tu na górę, by cię pocałować.

Ile razy kto przychodził, Boga nie śmiała wstawać, by jej garb jak najmniej zauważono. Tymczasem gdy zatrąbił wapor w przystani i gdy na dole powstawał zamęt, krzyki i śmiech, o Bodze jakby zupełnie zapomnieli. Ale mała Boga nie mogła tego wytrzymać, lecz powoli wstała. Naciągnęła papućki i po cichutku, na czworakach, spełzła po schodach na dół do pokoju stołowego, gdzie było nakryte do kolacji, i tam skryła się pod wielki stół.

Goście weszli do stołowego, a matka Bogi wniosła małą Leonorę na rękach.

Pili kawę i nieustannie całowali osobliwe dziecko Leonorę.

A w dole pod stołem powstrzymywała oddech mała Boga i wszystkie jej włosy zlepiły się jej na czole od potu i trwogi.

Ale matka jej rzekła naraz małej Leonorze:

— A teraz, kiedyś tak ślicznie wypiła swoją kawusię, pójdziemy na górę, żebyś zobaczyła i naszą biedną małą Bogę. Ona biedaczka naturalnie wiecznie choruje.

Gdy Boga usłyszała te słowa, nie mogła nic innego zrobić, tylko wysunęła się spod stołu ku przerażeniu wszystkich obecnych. Mała krewniaczka tak się przestraszyła, że krzyknęła i rozpłakała się. Musieli ją wziąć na ręce i długo uspokajać.

Ale Boga, tak na czworakach na podłodze, patrząc z dołu, miło się do niej uśmiechała i pocieszała ją:

— Nie płacz, mała Leonoro! Nie bój się! Pocałuj mnie!

Wtedy spuścili Leonorę na ziemię i obie dziewczynki uścisnęły się, ale zbyt bolesne byłoby mówić o różnicy, jaka była tutaj tak oczywista, zwłaszcza że mała Boga o wiele nędzniej niż zwykle wyglądała, będąc taka spocona, z polepionymi włosami i w samej koszulce.

Nazajutrz mała Boga podarowała Leonorze oba swoje białe gołębie. Przyniosła je jej na swoich podniesionych ramionach — jednego na jednej, drugiego na drugiej stronie — ale gdy je uradowana pięcioletnia piękność od niej przyjęła i tak samo je postawiła na obu ramionach — a jeszcze do tego przytuliła ku nim i płową swoją główkę tak, że jej złote i miękkie pierścienie włosów rozsypały się po białym pierzu, a czarne oczy i rumiana twarz mocniej się uwydatniły przy tej gołębiej białości — wtedy niemiła różnica między obu dziewczynkami była jeszcze boleśniejsza.

Wspięły się i do pokoiku Bogi. Leonora wlokła ze sobą i swoją kosztowną lalkę Rozamundę.

Tutaj uczyniła Boga coś, czego sobie nie wybaczy przez całe życie. Mianowicie — jeszcze przedtem, nim Leonora zdążyła zobaczyć marionetki, Boga wsunęła je wszystkie prędko pod wieko starej skrzyni. I Frakanapę i Brigelę i Arlekina, a nawet i Kolombinę. Ni Kolombina nie mogła się w żaden sposób pokazać przed Rozamundą. Naraz bowiem stało się dla Bogi całkiem jasnym, że kości policzkowe Kolombiny za wysoko są nakreślone i że Frakanapa nie umiałby się tak zgrabnie pochylić, by nie wyszła na jaw cała jego fizyczna brzydota. Boga zawstydziła się ich wszystkich przed krewniaczką.

I tak oto Boga zaparła się jedynych swoich przyjaciół. Zaparła się ich jak Piotr apostoł.

Trzy dni prędko przeszły i krewniaczka prędko odjechała.

Zostawszy sama, nie śmiała mała Boga otworzyć skrzyni, w której ukryła swoje marionetki.

Ale po czemże się też i poznaje prawych przyjaciół, jeśli właśnie nie po tym, że możesz się ich i wyrzec, że ich możesz przed lepszymi, wyższymi, mocniejszymi i zataić, możesz się ich zawstydzić, a oni mimo to wszystko skoczyliby za ciebie wprost w ogień, choćby byli ze szmat i starej bawełny, co jeszcze najprędzej się pali.

Oprócz tego wszystkie te marionetki widziały dobrze, jak małą Bogę boli to zatajenie i jak żałuje tego. Dobrze one wszystkie słyszały, jak w chorych piersiach Bogi, ze wzruszenia, mocniej chrypie, niż zwykle... Zmówiły się więc, by jej ze serca wybaczyć i żeby się z tego okna nie ruszyć, dopóki Nona nie przyjedzie; bacznie będą uważać na każdy ruch, jaki się pocznie na polu.

Tak trzymały marionetki niemą straż, ale okręty ciągle trąbiły daremnie... Nie przyjeżdżał nikt. Ni nawet i matka, chociaż doniesiono jej, by się spieszyła do domu, bo z małą Bogą bardzo, bardzo jest kiepsko.

Żeby przynajmniej matka przyjechała! Choćby otwarła i tamtą najczarniejszą flaszeczkę, choćby jej wlała do kaszki i tamto najbardziej gorzkie lekarstwo — niech tylko ktoś dziś wieczór przyjdzie, bo o małej Bodze oto, i służące zapomniały...

A mrok się łeje przez niewidzialną szparę jak czarny płyn. Mrok zalewa pokój małej Bogi. Zalewa uszy małej Bogi... Teraz przeleje się jej poza oczy. Nic więcej nie będzie już nawet widzieć mała Boga.

Ale przedtem — szeroko rozszerza swoje mętne oczy. Szeroko je rozszerza i patrz!

Patrz, kto tu przy niej stoi?

Nad nią się nachyla, ręce pod nią podsuwa, by ją podnieść, by ją odnieść?

— Nono! — zachrypiała mała Boga. — Nono, tos to ty! Skądżeś się tu Nono wzięła?

Ale Nona położyła tylko palec na usta... By się nikt nie domyślił! Ni ci tam na oknie, zwróceni plecami do nich. Prędko, prędko, by ich nikt nie zauważył!

I Nona podniosła ją i odniosła, a mrok napełnił do wierzchu pokój małej Bogi.

*

A gdy później domownicy weszli do tego pokoju, krzyknęli, spojrzawszy na łóżko... Przyskoczyli. Podnieśli jedną rączkę. A ona opadła. Drugą rączkę. I ta opadła...

Pobiegli do okna i otwarli je naoścież tak, że pospadały na podłogę wszystkie te małe, wierne stworzenia, które były poustawiane na oknie, czekając na Nonę, która przybyła, ale nie okrętem.

Marionetki najpóźniej się dowiedziały, co się stało... Popadały twarzami na ziemię i były może jedynymi, co szczerze żałowały małej Bogi, garbatej dziewczynki.

Tłumaczył z serbsko-chorwackiego
W. Podmajewski

*) wapor = okręt (przyp. tłum.).

BRAWUROWY WYCZYN

— Mój drogi — poważnym tonem zdecydował mecenas Taszycki, — pomimo całej twej ogromnej wziętości i szalonej popularności, jaką cieszysz się daleko i szeroko, właściwie dotąd nie dokonałeś niczego nadzwyczajnego. Brawurowego wyczynu w swojej karierze nie masz...

Adwokat Senerth wpatrzył się bystro w mówiącego. Mecenas Taszycki, rywal jego i kolega szkolny, miał najwidoczniej na myśli coś, czego nie można było zrozumieć...

Od lat, losy sprzęgły ich razem na drogach życia, to znaczy, zawsze Taszycki stawał na ścieżkach Senertha.

Zaczęło się od rywalizacji w sprawach związanych ze szkołą; cicha, zawzięta walka o prymusostwo w klasie, o studenckie miłostki i sercowe podboje siedemnastoletnich wyrostków, aż do zawziętego ciągłego współzawodnictwa na arenie występów publicznych — w adwokaturze.

Obaj ogromnie zdolni, jednakowo ambitni i nieustępliwi, ze zmiennym szczęściem ciągnęli rydwan pracy zawodowej, — w jedynym pragnieniu życia: zdystansowania sie wzajemnego.

Ulubieńcy publiczności, bohaterzy retorycznych wywodów wielu sensacyjnych procesów, żywili ku sobie jakąś dziwną ukrytą niechęć, prawie nienawiść...

Uczucie to wzmogło się i spotężniało u mecenasa Taszyckiego, gdy Senerth pojął za żonę boginię jego snów, cudną, czarnooką Zosię, okrzyczaną i uznaną piękność.

Odraza zaś Senertha do Taszyckiego rozwinęła się jeszcze bardziej od pamiętnego dnia, gdy Senerth odrzucił obronę Pawła M., w panoramie procesowej o mord seksualny, ·ko nie do wygrania. Taszycki zabrawszy i wówczas odrzuconego klienta — wyprowadził go talentem krasomówczym i akrobatyką dowodzenia z celi więziennej na świat.

Prasa okrzyczała wtedy Taszyckiego Tytanem słowa, geniuszem żelaznej logiki, mocarzem zapału i siły woli...

Uwolnienie Pawła M. nazwano „brawurowym wyczynem sławnego prawnika, mecenasa Taszyckiego" — z którego Izba Adwokacka powinna być dumna! I on, Senerth musiał z obleśnym uśmiechem uczestniczyć w bankiecie Palestry, wydanym na cześć sławnego członka...!

Gratulowano mu wtedy niebywałego sukcesu, wróżono jeszcze świetniejszą przyszłość, z fałszywą radością składano życzenia z okazji olbrzymiego honorarium, jakie zagarnął Taszycki.

Rywal był na ustach wszystkich, a on, Senerth, zeszedł jakby w półcień.

— Nie rozumiem — odezwał się nareszcie Senerth, — co mi pan chce dać do zrozumienia tymi słowy. O jakim brawurowym wyczynie pan myśli?

Per „pan", dawno mówili już sobie... ciągła rywalizacja kazała im zapomnieć o czasach, gdy byli kolegami szkolnymi... „Mój drogi", lub „mój kochany" — rzucali, by się drażnić wzajemnie pustym brzmieniem frazesu...

— Pan nie wie? Ja, bo mam bodaj za sobą proces takiego Pawła M.! Co dla pana było ponad siły, mnie przyniosło chwałę i majątek! Pan zmalał nieco od tego czasu... dotąd brakuje Panu, mój kochany, jakiegoś evenement'u w karierze... czegoś — w rodzaju mego brawurowego wyczynu!... ale już późno... chodźmy! kelner! płacić!

— — — — — — — — —

Miasto gorączkowało się od tygodnia niebywałą sensacją: Znaleziono żonę mecenasa Taszyckiego martwą w jej buduarze. Lekarz sądowy stwierdził śmierć od kuli rewolwerowej, która utkwiła w sercu. Było to sześć dni temu.

Sensacja wzrosła, gdy po upływie tygodnia, tygodnia plotek i domysłów, prokurator wydał nakaz zaaresztowania adwokata Taszyckiego!

Bomba pękła!

Opinia publiczna, ta zmienna i kapryśna, zdolna prowadzić na szczyty i strącać w otchłań poniżenia — domagała się gwałtownie zadośćuczynienia za zachwianie wiary w ulubieńca.

Drobiazgowo przeprowadzone śledztwo ustaliło niezbicie winę adwokata Taszyckiego.

On sam — złamany zupełnie i odmawiający wszelkich zeznań — nie zapierał się zupełnie...

— Zabiłem — bo tak honor nakazywał. — Odpowiadał stale, patrząc pełnym boleści wzrokiem w jakąś odległą dal.

Rozmaicie opowiadała stugębna plotka — nie oszczędzająca ani jego samego, ani czystości domowego ogniska wziętego adwokata...

Ponieważ Taszycki nie zgodził się na własnego obrońcę, przewidywano naznaczenie tegoż z urzędu.

Do szału niemal doprowadziła miasto wiadomość, że o obronę z urzędu postarał się — mecenas Senerth!

To dopiero zdarzenie!

Rywal bronić będzie rywala!

Konkurent — oko w oko z konkurentem na sali sądowej! Co za pole do popisu.

W dniu procesu gorączka ogólna doszła do zenitu. Formalna bitwa rozegrała się u wrót sądu, dopiero interwencja organów bezpieczeństwa położyła kres impulsowi ludzkiemu, chcącemu znakomitych adwokatów w przeciwnych względem siebie rolach ujrzeć przed trybunałem sędziów.

Przeważała opinia — że adwokat z urzędu, gdy do tego jest on współzawodnikiem oskarżonego — ustosunkuje się obojętnie do bronionego. Ale podobno on sam chciał go bronić przecież z urzędu!

Coś w tym było!

Niezamącona niczym cisza, zaległa wielką salę sądową, gdy po świetnie przeprowadzonym oskarżeniu prokuratora podniósł się z miejsca mecenas Senerth.

Silnymi słowy, spokojnym, zrównoważonym głosem, bronił oskarżonego nie jako prawnika i wyznawcę paragrafów kodeksu karnego — ale jako człowieka tylko...

Jako człowieka — który honor życia i nieskalane nazwisko powierzył dłoniom ukochanej kobiety — gdy ona okazała się niegodną towarzyszką jego, jak kryształ czystego człowieka.

Dowodem tego, — że nie oskarżał nikogo, nie bronił siebie ani nie chciał jej sądzić, nie chciał — by go broniono i wybielano jego czyn. Powtarzał, — że zabił, bo mu tak honor nakazywał, ten największy skarb uczciwego człowieka. Zabił — powodowany instynktem każdego żywego tworu, czującego i myślącego, mszczącego odruchowo własną krzywdę.

Nadzwyczajny dodatek podał treść wyroku tłumom:

— Uniewinniony większością! —

Gdy blady i wzruszony Taszycki podszedł ku Senerthowi z wyciągniętą dłonią — Senerth donośnie oświadczył mu wobec całego audytorium bijącego brawa:

— To był, mój brawurowy wyczyn! — broniłem pana jako swego rywala — i to jeszcze za darmo!

Stefan Krasiński

ZE SCENY

„ŚLUBY PANIEŃSKIE"

Refleksje

„Śluby panieńskie" należą do tych sztuk teatralnych, które nawet w perspektywie wiekowego oddalenia nie wiele tracą ze swego uroku. I niewątpliwie — nie szybko jeszcze okroi je z piękna rozwaga dni późniejszych, regulująca płomienne entuzjazmy.

Dziś, kiedy oglądam te prześnione, arcyzabawne obrazki, w słońcu reflektorów scenicznych, dostrzegam ich szczere i serdeczne uśmiechy, i mimo woli rozczula mnie ten świat spokojny swym romantyzmem czystym, świat dla nas tak inny choć niegdyś prawdziwy.

Prócz szczerego sentymentu, w całym tym fredrowskim arcydzielku, kryje się zaklęta cząstka naszej duszy, ta spokojna i nastrojowa iście polska atmosfera, dająca możność odprężenia na moment nerwów i zaczerpnięcia oddechu zmęczonej dzisiejszą wojną piersi; w ucieczce myśli do dawnych spokojnych czasów.

Wiemy, że nasz Fredro nie miał tu mickiewiczowskich tendencyj i nie z myślą „pokrzepienia serc" pisał tę sztukę, mimo woli raczej objął nią spory szmat błękitu pogodnej atmosfery.

Tu właśnie zadumany Fredro wywiódł na światło najpiękniejsze dusze, jakie kiedykolwiek chadzały po naszej scenie. One nawet poruszają się po polsku — parami — modą poloneza.

I tak; pierwsza para — Gucio i Aniela — to jakby Pan Tadeusz z grobu wstał i wiódł Zosię. To dwie dusze splecione jak dwa powoje.

Gucio — pyszny modniś — jeszcze dziś wyprawia harce z „białogłów rodem", a jutro już na śmierć się zapatrzy w niebieskich oczach Anieli i rozmiłowanym głosem powie:

„Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone;
Niech je w przeciwną los potrąci stronę,
One wbrew losom, w tym lub tamtym świecie,
Znajdą, przyciągną i złączą się przecie:
Tak jak dwóch kwiatów obce sobie wonie
Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie..."

A ona prześliczną główkę pełną ma przerażających opowiadań o „jaszczurczym rodzie" męskim — o niestałości i fałszu. Toć przecie pod poduszką kryje „Męża Kloryndy życie wiarołomne", a ponad to wiąże ją straszliwa przysięga złożona wobec Klary, na „kobiety stałość niewzruszoną", że nigdy niczyją żoną nie będzie.



Scena z komedii Fredry „Śluby panieńskie" — granej dnia 17. III. br., na scenie Krakowskiego Teatru Powszechnego. Na zdjęciu od lewej: Gustaw (Zawistowski), Radost (Fabisiak), Albin (Rydel), Klara (Grzębska), Aniela (Karasińska) i pani Dobrójska (Trojanowska).

Fot. Burek

Ale to tylko tak na początku, bo trzpiot Gucio rychło i dokumentnie scałuje przysięgę z jej ust, że już drugi raz nigdy przysięgać nie będzie.

Zaraz za nimi w drugiej parze kroczy sroga Klara w różowej powiewnej sukience, ciągnąca za sobą zakochanego do nieprzyzwoitości Albina, co „niedługo cały w fontannę się zmieni" albo w morzu własnych łez z rozpaczy się utopi. A ma ku temu powód! Nie chce go kochać wybredna Klarcia.

„Ach, ten Albin — jeno westchnienie i wzdychanie jeno". Ale skoro słóweczko zgody z ust Klary usłyszy — w lwa strasznego natychmiast się zmieni.

I wreszcie w trzeciej: — wielce szanowna i czcigodna pani Dobrójska, która z lękiem prawi córuchnie o bezwzględności ojca — jakże doskonała przy wujaszku Radoście, który zgorszony „niecnymi" postępkami trzpiota-wychowanka — w kółko perswaduje o nieprzyzwoitości, naprawie i poprawie.

Wpatrujemy się w to prześnione teatrum polskiego życia i zapominamy powoli, że to tylko scena; zadumani — widzimy — jak we mgle — jak scena rozszerza się powoli . . . powoli . . . — znikają kulisy — jesteśmy w zacisznym dworku, co się dziś już w gruzy zwalił i w upadku legł. Na ścianach sylwetki babek, w kącie staroświecki kurant — przy stole zakochana para pisze list do siebie samej.

Wsłuchujemy się w słowa listu, tego prześlicznego listu o anielskim Kochaniu, o tęsknocie palącej, o romansie rozmiłowanych oczu.

Tysiąc słów w jednym słowie, historia obszerna w jednym spojrzeniu.

Słuchamy pilnie. Pieścimy nieomal dotknięciem każde słowo, jak odnalezione pamiątki. Przyznaję, zażenowany, że nawet mnie rozrzewniło to wszystko.

I nie wiem doprawdy, czy to tylko wyłącznie ku mnie tak jakoś inaczej uśmiechają się postacie ze sceny, że mnie — recenzenta — odbiega ochota sprawdzać czy Anielcia ma odpowiednio ułożoną fryzurkę i czy bucik u Klary jest dostosowany do epoki! A może obie włożyły nowoczesne koturny — drewniane bosaki?! I naprawdę nie mam chęci stwierdzać czy kurant jest stałym sztucznym rekwizytem teatru — czy też może prawdziwym zegarem wypożyczonym u mojego dziadka?! To mi jest obojętne, bo zadumany i tak usłyszę jego ton, choć on będzie milczał zepsuty.

Ja potrafiłem zapomnieć nawet, że p. Fabisiaka widziałem niedawno przemawiającego „na forum" — natomiast założyłbym się nawet, że takowego Radosta widziałem na pewno w jakiejś muzealnej galerii starych portretów.

Spoglądam na widownię — nie ma tu szmerów — uśmiech dobry widnieje na wszystkich twarzach — wykwita z ust i oczu. Cisną się słowa cichej podzięki tym ludziom na scenie, za ich słowa, które nie były czym innym niż być miały.

Więc nie śmiemy już udawać kawiarnianych cyników i zwyrodniałych daltonistów uczucia, lecz wsłuchani w miłosne perypetie, kończące się wdzięcznie — stajemy się wszyscy powoli sentymentalni, jak ja, pisząc te słowa.

Tak. Dobrą i szczęśliwą myśl zrealizowało kierownictwo teatru wystawiając na początek fredrowski „Magnetyzm serca".

Paliwoda-Matiolański

REWANŻ NA SAN DOMINGO

FRANCISZEK URAMOWICZ

Słońce prażyło. Wysokie góry, na krańcu wyspy, stały groźne pod niebieskim kloszem nieba.

U ich stóp szerokim pasem dżungla. Gorące promienie pieszczą olbrzymie drzewa. Giętkie bambusy stały nieporuszonę. Gdzieniegdzie wystrzelała wzwyż rozłożysta palma.

W głębi, w gęstwinie dzikich powojów, w gęstwie liści, wzrasta gwar. Małpy wyją. Tygrysy, wyjce, papugi. Dżungla śpiewa.

Pod bokiem dżungli, a blisko brzegów, rozsiadły się plantacje trzciny cukrowej, kakao, tytoniu, bawełny.

Na jednej z wielkich plantacji siedział mister Thompson i ocierał pot, który spływał mu grubymi kroplami z karku.

— Uff, ależ dzisiaj praży...

— Yes mister, można się żywcem upiec — odpowiedziała stenotypistka, mulatka, ukazując w uśmiechu zdrowe białe zęby.

Mister Thompson sięgnął po syfon i wypił duszkiem pełną szklankę.

— Co nowego? — spytał zapalając cygaro.

— Reklamacja towarzystwa okrętowego „Szlak" z San Francisko.

— A ci co znów?

— Reklamują, że drzewo dostarczone przez nas na okręty, z zewnątrz zresztą dobrze wyglądające było w 40% wewnątrz spróchniałe.

— Psiakrew!!

— Wobec czego przekazują na nasze bankowe konto kwotę o osiem tysięcy mniejszą.

— Osiem tysięcy dolarów diabli wzięli! Ale tu jest matactwo.

— Mrs. Thompson pozwolę sobie zauważyć, że towarzystwo okrętowe „Szlak" wzięło zaprzysiężonego eksperta i...

— Ma pani odpis tego protokółu?

— Mam, przysłali go jako załącznik.

Mister Thompson nerwowo wziął do ręki papier i przebiegł go oczyma.

— Na białą skórę murzyna, to musi być prawda, a więc to Braga...

— Tak misters, mr. Braga niehonorowy kupiec, przypomina pan sobie sprawę Morgena?

— Owszem, rzeczywiście, ma pani rację i tam też dostawcą był Braga, ten śmierdzący Brazylijczyk.

— Myślę, że to jego sprawa.

— Ja nie myślę ale jestem tego pewny. Tak! — mr. Thompson uderzył przy tym pięścią w stół.

— No ale ja mu się zrewanżuję albo nie będę się nazywał „wielki Thompson".

Po chwili spytał już spokojniej:

— Co jeszcze przyszło dzisiejszą pocztą?

— Sztokholm o zakup partii tytoniu.

— Zrobione.

— Amsterdam z prośbą o dwa tysiące bel bawełny, płacą cenę giełdową z dnia nadania depeszy, tzn. wczoraj.

— A jaki był kurs?

— Dwadzieściapięć dolarów za belę loco miejsce załadowania.

— Psiakrew, a myśmy sprzedali do Liverpoolu cały nasz zapas.

— Można by odkupić.

— Odkupić? Dobra myśl. All right, zrobione.

— Mister Thompson ostrzegam pana, bowiem mr. Braga...

— Wiem, wykupił wszystką bawełnę w promieniu pięciu mil. Tym razem jednak zobaczymy kto sprytniejszy. Niech pani pisze telefonogram „Amsterdam, Bracia van Gogh. Zamówienie przyjęte. Parowcem „Sanitas" wysyłam bawełnę po kursie wczorajszym. Thompson." A teraz proszę to jak najszybciej nadać.

— Ależ pan nie ma bawełny mr. Thompson — zwróciła uwagę stenotypistka.

— Wiem, ale ją będę miał i wie pani od kogo? Od samego mr. Bragi, jakem Thompson!

Stenotypistka mulatka znów pokazała białe zęby, lecz tym razem z wielkiego zdumienia.

Gdy słońce zeszło trochę z zenitu zaczął się na plantacji mr. Thompsona ruch. Przy śpiewach i podrygach zaczęli mulaci ładować na okręt, stojący opodal na redzie, paki i wory kakaa.

Długim sznurkiem, jeden za drugim, z workami na plecach, rozwinęli się w długiego węża. Wąż ten w stronę okrętu leniwy i powolny, drgał życiem wracając z powrotem. Mulaci pomagali sobie śpiewem. Robota szła raźno.

Do dozorującego mulata podszedł mr. Braga, w białym tropikalnym kasku, skoro tylko wszedł w obręb plantacji wielkiego Thompsona.

— Twój szef znów ładuje?

— To do Nowego Jorku, mister.

— Ten się bogaci w oczach, — rzucił zazdrośnie.

— O mr. Thompson być wielki kupiec i dobry kupiec.

— Czy dobry to nie wiem, — zaśmiał się mr. Braga.

— Moja wiedzieć, moja znać, dlatego mr. Thompson być wielki.

— No, no, moja nie przeczyć twojej, — zaśmiał się Braga ale urwał wpół śmiechu i pilnie nastawił ucha. Radiowy głośnik, zawieszony na jednej z palm blisko magazynu, przerwał muzykę a speaker przemówił:

— Na tym kończymy lekką muzykę. Teraz nadajemy wiadomości giełdowe. Ostatnie notowania na rynku giełdowym w Nowym Jorku. Tendencja wyraźnie zniżkowa na bawełnę. Dziś płaci się za belę prima gatunku osiemnaście dolarów. Liverpool i Amsterdam ostrzega, że tendencja na rynkach europejskich jest wybitnie zniżkowa...

Mr. Braga nie słuchał dalej notowań giełdy tylko jak oparzony wbiegł do kantoru mr. Thompsona.

— O mister Braga, jak się pan ma. Cóż tak spieszno, — powitał go uśmiechnięty mr. Thompson.

— Szukam ochłody, wszystko przez ten przeklędy upał.

— Proszę, niech pan siada. Napije się pan czegoś?

— Owszem whisky.

— And soda?

— O yes, mister.

Mr. Braga wypił i otarł pot z twarzy.

— Jak tam interesy, mr. Thompson?

— Dziękuję, a u pana?

— Owszem, owszem, ale mam na zbyt pewną ilość bawełny.

— Bawełna? — udał zdziwienie mr. Thompson. — To mnie nie interesuje, chociaż, chociaż czy ja wiem. No a ile pan ma na zbycie?

— A ile pan potrzebuje?

— No tak z dwa tysiące bel.

— Będzie, — uradował się mr. Braga.

— Po ile?

— Dwadzieścia pięć.

— Ho, ho, to było wczoraj.

— No tak dla pana po dwadzieścia trzy, ale potrzebuję gotówki szybko.

— Nie, na taką cenę nie ma o czym mówić.

— No a na ile? — wystękał mr. Braga.

— Dam dziewiętnaście.

— To za mało, dodaj pan jeszcze ze trzy punkty.

— Nie.

— No to dwa choćby, — targował się mr. Braga. Mr. Thompson namyślał się a po tym rzekł:

— Niech będzie, all right?

— All right.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce na znak zawartego interesu.

— A teraz wystawię panu czek za bawełnę. Zabiorę ją z pańskich magazynów jutro rano, bowiem mam termin załadowania.

— Zrobione kochany mr. Thompson.

Mr. Thompson wyjął książeczkę czekową i wypisał należną kwotę. Podając czek mr. Bradze spytał:

— Zgadza się?

— Co do grosza.

— Dobra, teraz tylko potwierdzi mi pan odbiór pieniędzy i akt sprzedaży.

— Ależ ma się rozumieć, — i mr. Braga z całą świadomością złożył dwa podpisy.

Mr. Thompson dla „oblania" interesu nalał znowu whisky and soda. Wypili i zapalili cygara. Mr. Thopson spojrzał na zegarek i rzekł:

— O tej porze Nowy Jork nadaje wiadomości giełdowe.

— Jakto, przecież nadawał? — skoczył mr. Braga na równe nogi, gdy mr. Thompson przekręcił taster radioodbiornika i ozwał się równy głos speakera.

„...Hallo, tu Nowy Jork. Wiadomości giełdowe. Bawełna prima sorty dwadzieścia pięć za belę. Liverpool i Amsterdam notują to samo. Tendencja zrównoważona..."

Mr. Thompson przekręcił taster i rzucił do mr. Bragi:

— A co mr. Braga udał mi się rewanż, no nie?

— To niemożliwe! Sam przecież słyszałem na własne uszy przed pięcioma minutami, że...

— ...Owszem, owszem, to ja próbowałem mój nowy aparat nadawczy i...

Mr. Braga skoczył na równe nogi:

— A więc to pan, to pan... — pienił się.

— Tak to ja. Biblia powiada „oko za oko, ząb za ząb", a ja straciłem przez pana na drzewie osiem tysięcy dolarów a dziś zarobiłem na panu też osiem tysięcy. Tak więc jesteśmy skwitowani.

— Bydlę, — syknął mr. Braga i rzucił się na mr. Thompsona ale ten porwał go za kołnierz i wyrzucił z kantoru. Mr. Braga potoczył się i upadł. Towarzyszył mu śmiech pracujących mulatów.

ROBERTO BENTINI PŁACZE

PAOLIO D'EMILIO

Dokuczliwy, gorący dzień w sierpniu. W biurze u Bardinelli'ego nie słychać głosu. Cztery sekretarki i sześciu urzędników siedzi pochylonych nad swoją pracą.

O godz. 2.30 wstaje kierownik biura pan Mottini i zwolna idzie do urzędnika Roberta Bentini. Musi mu udzielić nagany z powodu błędu w księdze handlowej pod „Winien". Zbliża się do biurka urzędnika Bentini, i zarzuty zamierają formalnie na jego ustach: urzędnik Bentini płacze! Wszyscy pracownicy przerywają swą pracę i przysłuchują się ciekawie.

— Dlaczego pan płacze? Czy pan czuje się źle?

Przeczącą odpowiedź daje ruchem głowy Bentini.

— Czy jest kto w pańskiej rodzinie chory?

Znowu przecząca odpowiedź urzędnika Bentini.

— Może pech w miłości? Czy nie zdradziła przyjaciółka?

Tym razem urzędnik Bentini nie zaprzeczył. Milczy i wyciera załzawione oczy. Wszyscy pracownicy z najwyższym napięciem przysłuchują się rozmowie.

Kto to jest ten Bentini?

Przed kilku minutami nikt nie robił sobie trudu zajmowania się jego osobą. Był bladym, trochę melancholijnie wyglądającym młodzieńcem. Nie mówił wiele, chodził skromnie ubrany i palił tanie papierosy. Nagle stał się innym, i nie tylko zmienił się w oczach kobiet, ale także i mężczyzn. Był tak blady, gdyż cierpiał z miłości, ubierał się tak biednie, ponieważ kobieta swoimi nadzwyczajnymi żądaniami wydzierała mu z kieszeni nędzną pensję miesięczną, palił tanie papierosy, aby zaoszczędzić pieniędzy. A teraz płakał, ponieważ — może — zdradziła go ta kobieta. Kierownik biura przyglądał mu się wzruszony. On także cierpiał przed trzydziestu laty z powodu pewnej niewiasty.

— Panie Bentini, niech pan idzie do domu, niech wypocznie i wraca znowu wesoły.

Wiadomość, że urzędnik Bentini płakał z powodu miłości, lotem błyskawicy rozeszła się w firmie; dotarła do oddziału korespondencyjnego, wysyłkowego i rachunkowego, ba — dotarła do świętych apartamentów generalnego dyrektora.

Prywatna sekretarka generalnego dyrektora była starszą panną, brzydką, suchą jak kij, z ostrymi, błyszczącymi okularami. Wiadomość, że Bentini płakał z miłości, przypomniała jej Giovannego. Giovanni opuścił ją przed 24 laty, po krótkich, szczęśliwych dniach, które zdawały się być wiecznością. I później widziała go znowu: żonatego i z trojgiem dzieci. Z czerwonymi od płaczu oczyma weszła sekretarka do pokojów dyrektora.

— Co się stało? Pani płakała?

Tak dowiedział się generalny dyrektor o pracowniku, który ronił łzy z miłości. I on wzruszył się i myślał o czasach młodości. Pochylony i głęboko zamyślony przyszedł wieczorem do domu i opowiadał o tym smutnym zdarzeniu. I jego kapryśna córeczka słuchała historii o urzędniku Bentinim, który dla swej damy ofiarował wszystkie swoje pieniądze, chodził biednie ubrany, na nic sobie nie pozwalał i palił najtańsze papierosy. Chciała go poznać.

Znalazła go interesującym. Spodobała się jej jego blada, melancholijna twarz; wzruszyło ją jego znoszone ubranie. Ten więc mężczyzna oddawał kobiecie całą miesięczną pensję? Widywali się często. Czuli się dobrze razem. Po sześciu miesiącach pobrali się. Byli bardzo szczęśliwi.

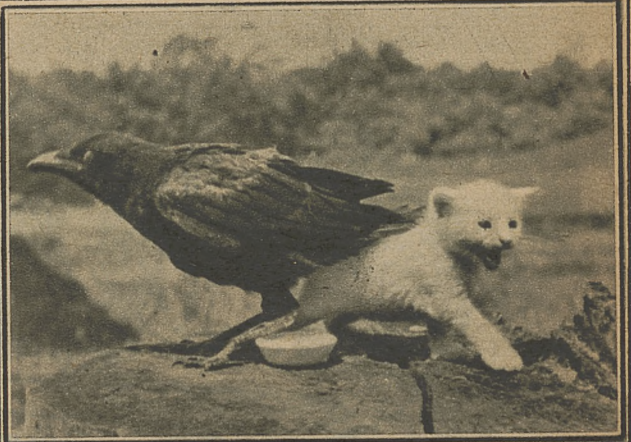
Ale urzędnik Roberto Bentini nie powiedział nikomu, że pewnego dokuczliwie gorącego dnia sierpniowego o godzinie 2.20 miał ogromną ochotę zasnąć. Jego znużona głowa opadała na maszynę do rachowania, a ból wycisnął mu łzy z oczu. Tego jednak nie powiedział urzędnik Bentini nikomu; nie przyszło mu nigdy do głowy wylewać łzy dla kobiety.

Tłum. A. G.

JAK CIĘ WIDZĄ, TAK CIĘ PISZĄ...



Jakaż to idylla słodka!
Kruk miał przyjaciela kotka,
I strunąwszy raz doń z drzewa,
Jął go uczyć... jak się śpiewa!



„Oj, ty kruku! Ty, cymbale!
Przecież nie masz głosu wcale!
Ser ci włożyć w dziób szeroki...
Aż mnie z śmiechu bolą boki!"



Kruk nie wierzy własnym uszom.
Kotka, myślał — trele wzruszą,
A ten nicpoń zakazany
Śmieje się, jak opętany!



„O-jej, gwałtu! hi-hi, miau, miał...!
Wnet Kiepurę-byś udawał!..."
— — — — — — —
Kruk obraził się rzetelnie,
A kić śmieje się bezczelnie...

Fot. Witzleben



MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI

— Jeżeli mi nie powiesz do kogo wysyłasz ten list Elu, nie odezwę się więcej do ciebie!

— Gdybym ci jednak powiedziała, to wtedy dopiero pogniewałabyś się na mnie na dobre!

Wiener Illustrierte



Mąż (zawiany): —

— Ależ ja mam pracowitą żonkę — o tak późnej porze jeszcze krząta się z miotłą przy gospodarstwie.

Wiener Illustrierte

KĄCIK KARYKATURZYSTY



— Taka bestia wypije dwie litry i wali sto kilometrów na godzinę, a człowiek jak se pół wypije — to już chodzić nie może...

Rys. L. Myczkowski — Zarszyn k. Sanoka

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Naczelnik biura ministerialnego do urzędnika:

— Zmuszony jestem przenieść pana na inną posadę, albowiem pan nie tylko śpi w biurze, ale nawet chrapie tak głośno, że budzi podsekretarza stanu, który pracuje w sąsiednim pokoju.

*

— Zapraszam cię na moje brylantowe wesele.

— Co, żartujesz? Czyżbyś istotnie przypuszczał, że dożyjesz?

— Dudek jesteś. Żenię się z córką jubilera.

*

— Jaką karierę przeznaczasz dla swojego syna?

— Nie wiem jeszcze, ale najchętniej widziałbym go mężem posażnej jedynaczki.

*

— Przysłany zostałem przez żonę pańską do strojenia fortepianu. Dwie struny podobno pęknięte.

— Masz pan tu pięć złotych. Słowa żonie nie piśnij, pozrywaj wszystkie struny i zmykaj.

*

Żona (na balu): — Nabyłeś wielkiej wprawy w tańcu; dawniej zawsze obrywałeś mi suknie.

Mąż: — Bo też dawniej nie płaciłem za nie.

*

Mały Józio siedzi z ojcem w tramwaju. Naprzeciw nich usiadła młoda dama w tak krótkiej sukience, że widać jej kolana. Zauważywszy to Józio mówi do ojca: — Tato, ta pani wdziała dziecinną sukienkę.

*

Pani Matylda opowiada w czasie obiadu swej rodzinie, że jej dentysta ma w najbliższym czasie zrobić roentgenowskie zdjęcie szczęki. Usłyszawszy to mąż jej westchnął ciężko.

— Nie martw się kochanie — uspokaja go małżonka — to nie będzie bolesne.

— W to nie wątpię — odpowiedział czuły małżonek — obawiam się tylko, że jeżeli chodzi o ciebie, to zamiast zdjęcia roentgenowskiego, otrzyma doktór film dźwiękowy.

*

— Unikam Jana o ile się to da, nie mogę po prostu patrzeć na niego. Jego napuszona mina przyprawia mnie o mdłości.

— Ja również wolę się z nim nie spotykać.

— No wiesz, nigdybym nie przypuścił, żeś mu również jak ja winien pieniądze.

*

Nauczyciel: — Cóż to mi przynosisz?

Pawełek: — Świadectwa mego ojca. Powtarzał on każdą klasę, podobnie jak ja. Chcę, by się pan nauczyciel przekonał, że jestem dziedzicznie obciążony.

*

Sędzia: — Ta pani, którą pan wbrew jej woli pocałował, zgadza się cofnąć skargę, ale pod warunkiem, że pan ją przeprosi i wypowie wyrazy żalu za swój postępek.

Oskarżony do pięknej damy, która wniosła przeciw niemu skargę:

— Łaskawa pani, proszę najuprzejmiej o przebaczenie! Wyrazów żalu nie mogę jednak, jako uczciwy człowiek, wypowiedzieć.

*

— Doprawdy, muszę przyznać, że moja narzeczona jest niezwykle rozsądną niewiastą. Ma rozumu za dwoje.

— Jeżeli tak, to powinniście być bardzo szczęśliwym małżeństwem. Będziecie się świetnie uzupełniać.

*

— A więc, panie Wojciechu, proszę jeszcze dziesięć minut na mnie poczekać, bo muszę odprowadzić mą żonę do domu, gdyż sama nie widząc dobrze drogi mogłaby się gdzie potknąć, lub jaki wypadek mógłby się jej wydarzyć.

— A cóż się jej takiego stało? Nigdy się przecież dotychczas nie skarżyła na zły wzrok.

— Bo też wzrok ma tak dobry jak przedtem, tylko sprawiła sobie nowy kapelusz, który zasłania jej pół twarzy i jedno oko.

*

KRZYWDZĄCY POSTĘP

Twierdzić śmią mężowie donośnymi słowy,
Że film niemy lepszy był, niż dziś dźwiękowy.
Bo mąż — tak dowodzą — gdy długie godziny
Słuchać musiał w domu „babskiej" gadaniny,
Miał rozkosz, gdy przyszła wieczorna godzina,
Iść choć na godzinkę do niemego kina,
Aby tam zobaczyć na srebrnym ekranie
Mielenie językiem przez baby czy panie,
A przy tym — któż rozkosz tę zrozumieć zdoła —
Nie słyszeć ich głosu ni jednego zgoła...

— — — — — — — — — — —

I tej nawet jednej mężom satysfakcji
Pozazdrościł ktoś w swej wynalazczej akcji.

STRACH NA WRÓBLE

— Piękny ogród masz człecze — zagaduję sąsiada...
— Lecz straszaka na ptaki w nim ustawić wypada...
— To jest całkiem zbyteczne — sąsiad tak mi dowodzi —
— Bo na ogród raz po raz — moja żona zachodzi.

W TYM SĘK...

— Czy małżonka pańska umie grać na fortepianie? —
W towarzystwie pyta jeden mąż swego sąsiada...
— Nie... nie umie... — odpowiada ten na zapytanie —
— To pan bardzo jest szczęśliwy — tamten mu powiada.
— Ale gdzież tam?... — ów z żałością w sercu się odzywa...
— Bo w tym sęk, że grać nie umie, lecz mimo to... grywa.

W TRAMWAJU

— Cały czas w tramwaju stałem dziś na jednej nodze,
— Taki natłok — prawi w wyjściu gość z miną heroja...
Sąsiad na to mu potwierdza: ...tak... z panem się godzę,
— Bo ta noga, na której pan stał, to właśnie... moja.

—la—



— Jesteś człowiekiem bez sumienia, bez serca i bez uczucia.

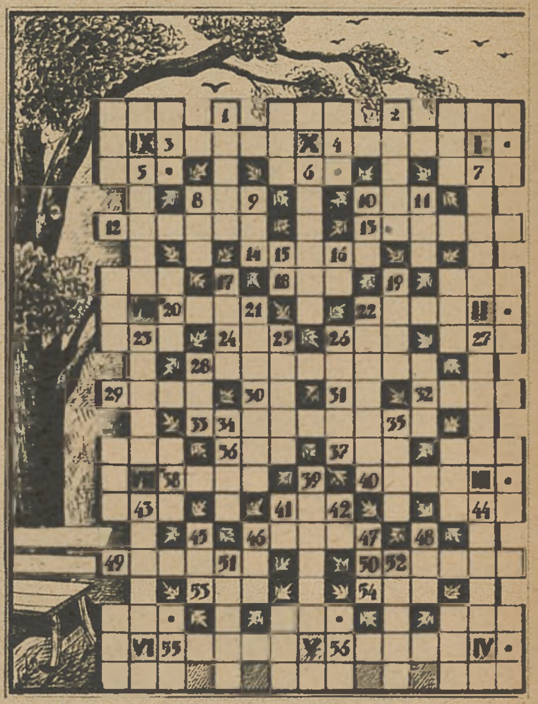
— A co gorsze także bez papierosów!

Das Illustrierte Blat[t]

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIRO-KRZYŻÓWKA

ul. i rys. St. Szmoń



W powyższą figurę należy wpisać wyrazy o podanym niżej znaczeniu. Początkowe litery wyrazów wirówki dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów wirówki: I. zmyślenie in., II. rewizor, kontroler, III. zabieg chirurgiczny, IV. imię żeńskie, V. scena teatralna, VI. człowiek nieświadomy czegoś, VII. mieszkaniec płd.-wschod. Europy, VIII. grobowiec, IX. środek o właściwościach nasennych lub trujących, X. miasto w Japonii.

Znaczenie wyrazów krzyżówki: Pionowo: 1. roślina pokojowa, 2. narzędzie górnicze, oskard, 5. imię żeńskie, 6. praca rolnika, 7. silny wiatr morski, 8. termin szachowy, 9. parów, wąwóz, 10. skorupiak rzeczny, 11. bryła lodu, 15. tuz, 16. „on" po niem., 17. przewód kanalizacyjny, 19. tytuł angielski wspak, 21. znajdziesz u malarza, 22. roślina strączkowa zdrobn., 23. naturalne drogi wodne, 25. miasto w Turcji, 26. trud, zajęcie, 27. wgłębienie na drodze, 28. kwit premiowy, 34. imię męskie, 35. roślina jadalna w liczbie mnogiej wspak, 39. utwór sceniczny Słowackiego, 41. przyimek, 42. zaimek r. nij., 43. zwierzę przedpotopowe, 44. imię męskie, 45. autor utworu „Pieśń o ziemi naszej", 46. tytuł pospolity, 47. część twarzy, 48. „sztuka" po łac., 51. wgłębienie w murze, 52. gra w karty.

Poziomo: 3. stolica Litwy, 4. tarcza Zeusa wspak, 8. nazwa miesiąca, 10. okres czasu, 12. ozdoba ścienna, 13. część świata, 14. część dnia, 18. tytuł angielski, 20. nabywanie towarów, 22. opad atmosferyczny, 24. matka założyciela Rzymu, 26. termin kupiecki, 28. opaska in., 29. cesarz rzymski, 30. podaruje, 31. najważniejsza karta, 32. mityczna królowa Egiptu, 33. wyznaczyć in., 36. „bogini" po łac., 37. matka Remusa i Romulusa wspak, 38. kamień półszlachetny, 40. narzędzie rolnicze, 41. oprawca, 46. instrument muzyczny, 49. część kościoła, 50. rama obrazu, 53. ryba, 54 przyprawa, 55. trawnik, klomb, 56. „ideał" po niem.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z Nr. 11

Na Grzegorza idzie zima do morza.

Poziomo: 1. mi, 5. kobza, 7. nakaz, 9. Anar, 10. gore, 11. tabor, 13. przed, 14. Amor, 16. poza, 18. owoc, 19. pole, 21. środek, 24. pagoda, 27. talar, 28. komar, 29. ma, 30. bluza, 31. Ra, 32. era, 35. dar, 39. Uri, 42. deo, 44. Kalkuta, 45. nudysta, 46. Diana, 47. kasta.

Pionowo: 1. makata, 2. ikona, 3. Erazm, 4. rezeda, 6. baba, 8. koza, 12. rower, 13. Polak, 15. rok, 16. pop, 17. gra, 20. oda, 21. statek, 22. Ola, 23. gruz, 25. amo, 26. armada, 30. Beata, 33. rad, 34. Ali, 36. lira, 37. zdun, 38. kuria, 40. zdun, 41. aida, 42. Ost, 43. eta.

Model w sześciu wersjach



W pracowni malarskiej rozstawili swe sztalugi malarki i malarze, studiując ten sam model.



Mimo, że wszyscy artyści malują ten sam model, prace ich różnią się bardzo od siebie.



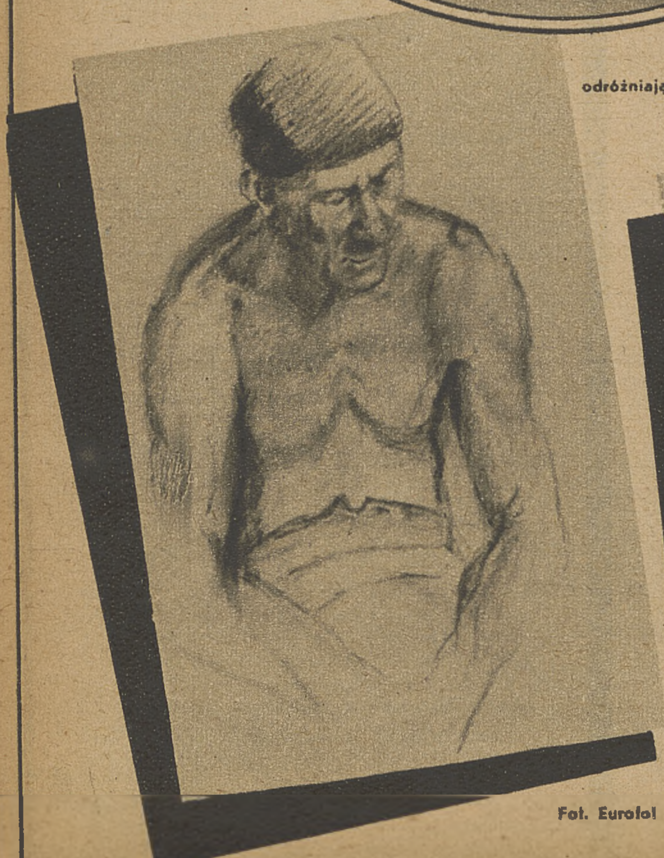


Jako szóstego artystę dołączmy jeszcze fotografa, który również zrobił portret starego górnika, służącego za model malarzom. Jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że fotografia najlepiej uchwyciła w szczegółach podobieństwo.

Stare przysłowie powiada: Choć dwóch robi to samo, wyniki ich pracy są zgoła odmienne. Prawdę tego przysłowia ilustrują nam doskonale zdjęcia zamieszczone obok.

Nie tylko techniką i odmiennym stylem malarskim, niby „charakterem pisma" różnią się od siebie portrety wykonane przez fotografa i pięciu artystów-malarzy. O wiele silniejsze różnice możemy zaobserwować u nich w sposobie patrzenia na model. Jednego malarza interesuje wyłącznie koloryt, drugiego kształt i linie, jeszcze innego anatomia ciała i dlatego choć model był wspólny, każda praca nosi piętno oryginalności odróżniające ją od innych.







Fot. Eurofot